

TYGODNIK

N. 1.

Dnia 15 Stycznia 1821 roku v. s.

EPONINA, ŻONA SABINUSA.

Powieść z francuzkiego, przez M. OLSZEWSKIEGO.

Eponina, rzadkiemi duszy i ciała przymiotami od natury uposażona, weszła w małżeńskie związki z Sabinusem nader bogatym i ambitnym człowiekiem. W czasie niszczących Gallią zamieszek pod panowaniem Ottona, Witelliusa i Wespazyana, każdy prawie naczelnik woyska, prawie każdy rządca prowincyi, sądził iż może rościć prawo do osiągnięcia naywyższej władzy.

Sabinus wsparty siłą mieszkańców Langres swych rodaków, obwołał się rzymskim imperatorem. Smiały i próżny ten człowiek, ród swój od Juliusa Cezara prowadzący, powziął otuchę, iż zwyciężywszy spózwodników do tronu, sam nad Rzymianymi panować będzie. Lecz zawistna fortuna zawiodła te nadzieie. Woysko iego zbite, partyzańci przez ucieczkę, lub co zgroza wspomnieć, przez dobrowolne samobóystwo, gniewu i zemsty zwyciężkich woysk rzymskich, unikać musieli.

Tom I.

Mógłby się był i Sabinus ukryć w lasach lub górach Gallii: lecz uprzeymie kochał swą żonę i był od niéy kochany. Nie chcąc więc opuścić najdroższego w świecie przedmiotu, udał się do wieyskiego mieszkania mającego skryte podziemne lochy, o których tylko dwóch iego zaufanych wyzwolenców wiedziało. Zwierzywszy się im sekretu, iż myśli zamknąć się w tych pieczarach i czekać sposobney pory do przeblagania zwycięzcy; zwołał wszystkich niewolników; przełożył im, że unikając barbarzyńskiéy zemsty swych nieprzyjaciół, sam sobie wydrzeć życie przedsięwziął; podziękował za usługi, rozdał nagrody, wszystkich, prócz dwóch, wyżéy wzmiankowanych wyzwolenców, do domu odprawił, i kazawszy dom swój zapalić oraz pogłoskę o swéy śmierci puścić, do pieczar się schronił.

Przychylni wyzwolenci, rozgłosili przed ludem, że pan, unikając żeby nieprzyjaciele obelg i hańby iego zwłokom nie wyrządzali, iedną ręką wypił truciznę, gdy drugą w teyże chwili dóm zapalił i sam w nim zgorzał. Wieść ta, pogrążyła Eponinę w naywiększym smutku i żalu. Łzy, lament i rozpacz, nadały piątno prawdy rozgłoszonéy powieści. Przyjaciele i sąsiedzi, zbiegli się cieszyć nieszczęśliwą: lecz wszystkie pocieszenia sposoby, nie miały przystępu do udręczonego smutkiem serca Eponiny. Gdy rozpacz téy nieszczęśli-

wéy kobiety coraz się wzmagać poczęła, postanowiła nieprzeżyć straty ulubionego przedmiotu, i w tym celu trzy dni już bez przyięcia najmniejszego posiłku, zostawała. Uwiadomiony mąż o okropnym stanie swéy żony, lękając się nieszczęśliwych skutków nieutulonego smutku i rozpaczey, posłał wyzwolenca z oznaymieniem o mieyscu swego schronienia.

Uszczęśliwiona przez to niespodziane uwiadomienie Eponina, uczuła najsilniéy potrzebę taienia tego sekretu, i w niczém powierzchownego smutu nie odmieniła; lecz palając żądzą oglądania czém prędzéy swego małżonka, udała się w nocy do podziemnych lochów, i codziennie go w téy porze przez siedm miesięcy odwiedzała. A że najmnieysza nieostrożność lub nieroztropność, ten naywiększy wagi sekret wydadź mogła; przeto Eponina zamknąwszy męża do wielkiey skrzyni i przykrywwszy go sukniami, do swego mieszkania sprowadziła. Widząc to wyzwolenicy, przelożyli swey pani, że nigdy w swym domu, gdzie tyle różnych ludzi przebywa, tak drogiego skarbu trzymać nie może. Przekonana o zdrowéy radzie i życzliwości wyzwolenców cnotliwa ta żona, odprowadziła męża do podziemnych lochów, gdzie go przez lat dziewięć codziennie odwiedzała, gdy już wszyscy ludzie najmnieyszey wątpliwości o iego śmierci nie mieli.

Leecy wszystkie roztropności środki, nie mogły ukryć tak ważnego sekretu. Cnotliwa Eponina uczuła w sobie szczęśliwy małżeńskich związków zadatek; co ją i Sabinusa, niezmierną radością i trwogą napełniło. Chcąc przed ludźmi ukryć stan swój naturalny; posmarowała ciało jakąś masą wzdymającą skórę; pokryła pozorną nabrzmiałością stan istotnego macierzyństwa, i w tém położeniu dwoje bliźniąt na świat wydawszy, w lochu Sabinusa własnymi piersiami karmiła.

Nowy ten stan, wkładał na nią nowe obowiązki: obowiązki wynikające z odwiecznych ustaw natury; obowiązki najsświętsze *czuley, troskliwey i dobrej matki*, których żadna naiemnica, nawet w królewskich domach, nigdy godnie zastąpić nie potrafi. Musiała się więc często z domu oddalać, przez co dała powód do różnych domysłów i wniosków, na zasadzie których, zaczęto śledzić i jej kroki; odkryto schronienie Sabinusa; okuto męża i żonę, w kaydany, i razem z dziećmi do Rzymu zaprowadzono.

Stanawszy przed imperatorem Rzymu, Wespazyanem, czci godna łzami zalana Eponina: „Dawnobym już starała się, „ rzecze, łaskawy imperatorze, błagać cię „ o przebaczenie dla Sabinusa, który, złych „ doradców zdaniem uwiedziony, bardziéj „ dla tego stanął na czele przeciwney stro-

„ ny, żeby mógł uniknąć prześladowania
„ i gwałtu naszych tyranów; niż gdyby się
„ wdarł na tron Cezara i Augusta: lecz
„ czekałam, żeby moi synowie, żadnego
„ uczestnictwa z przewinieniem oycy nie-
„ mający, mogli łączyć swe łzy, prośby i
„ żądania, do łez nieszczęśliwéj matki, za
„ oycem. Synowie moi, których widzisz
„ cesarzu! zrodzeni są w podziemnym lo-
„ chu. W tychto okropnych pieczarach,
„ troskliwie ich własnemi piersiami wy-
„ karmilam; w téyto okropnéj podziemnéj
„ iaśkini, bez światła i społeczeństwa lu-
„ dzi przez dziewięcioletni przeciąg czasu,
„ za wykroczenie swego oycy, aż nadto
„ odpokutowali. Zlituy się nad nieszczę-
„ śliwym ich stanem! Nie wywieray nad
„ niewiniątkami srogości, która się twéj
„ władzy na nic nie przyda.“ Te słowa,
postać Eponiny, Sabinusa i ich niewinnych
synów, leżących u nóg Wespazyana, prze-
mówiły do serca zgromadzonych osób. Za-
den z obecnych téj scenie świadków nie po-
wątpiwał, żeby władzca Rzymu na prośbę
żony, dającéy tak rzadki przykład mał-
żeńskiéj i macierzyńskiéj miłości, Sabi-
nusowi nie przebaczył. Ale dumny, tchną-
cy nienasyconą żądzą władzy i trwożliwy
o iéj utrzymanie Wespazyan, nie znając,
co to iest za rokosz przebaczać nieprzy-
iaciom, okazał się w téj mierze nieubla-
ganym, i Sabinusa na śmierć skazał.

Eponina, tchnąca zawsze szlachetnym sposobem myślenia, nieszczęśliwy los męża dzielić chciała. Przeświadczona iż mu życia ocalić nie zdoła, przestawszy płakać, rzekła z szlachetną dumą do Wespazjana: „Dowiedz się dziś ode mnie imperatorze, że kobieta, że ja sama, którąm lat dziewięć w ciemnym lochu z mężem przeżyła; nie żałuję życia, i śmierci się nie lękam! Los mój, nierównie jest świe-tniejszy od twego, mimo okazałość i pompę, która twój tron otacza. Nie mam zgryzot sumnienia. Moje serce nie mi nie wyrzuca; czém się ty władzco by-naymniey pochlubić nie możesz. A lubo dziś twa potęga i wielkość granic nie ma; nie zdołasz jednak zapobiedz temu, żeby pamięć twych okrutnych czynów, na potomne czasy, piętnem hańby naznaczoną nie była.“

Nieszczęśliwa ta żona, cnotliwe swe życie bohaterską śmiercią, zakończyła (1).

Zadziwia nas i słusznie, małżeńska i macierzyńska miłość, tudzież stałość Eponiny: lecz gdy się w dziejach naszego narodu bacznie rozpatrzymy; gdy się wszystkim stanom przyyrzeć zechcemy; z chlubą dla nas musimy wyznać, że nie ma poświęcenia, nie ma ofiary, nie ma heroizmu,

(1) Czytać Swetoniusa.

na któryby się szlachetne Polki
wazyły. Ani nadzieia świetnych zaszczy-
tów i bogatych korzyści; ani boiaźń katu-
szy; zgola nie na świecie, wielkości ich
umysłu, i tęgości hartu ich duszy, zgiąć
nie zdoła. Gdzie tylko miłość oyczyzny,
miłość cierpiącej ludzkości, małżeńska wier-
ność, lub szczera przyiaźń do czułych ich
serc przemawia; nigdy się tam szanowna
Polka, Greczynkom ani Rzymiankom, wy-
przedzić nie dała. Nie trzeba mi na to, co
mówię, szukać dowodów. Pełna iest hi-
storya najsławniejszych czynów, we wszy-
stkich katastrofach polskiego narodu; peł-
no iest podań, które są szacownym zeszłych
czasów składem cnot religijnych, moral-
nych i politycznych, przez które zacne
Polki dały tysiączne dowody nieskażoney
przesadą, zasadzonéy na miłości Boga i
Bliźniego Religii; dały dowody czystéy fi-
lozoficzney i ewangeliczney moralności, na-
kazującéy uważać wszystkich ludzi, iako
równe co do przyrodzonych praw istoty;
dały we wszystkich wiekach dowody wy-
górowanego patryotyzmu, mogącego służyć
za wzór wszystkim znanym częściom
świata.

KOLENDA

Dla PP. Szubrawców na rok 1821.

O sławny *Gulbi* przestań cicho siedzieć,
Trzeba coś przecie na to odpowiedzieć.

Do was mężowie w dzień nowego roku,
Z pochwalném pośpieszam pieniem,
Co przeciw zbrodniom raz stanąwszy w kroku,
Szubrawców straszni imieniem;
Choć otoczeni swych wrogów nawałą,
Nieugięci w każdej doli,
Wszystko mówicie im śmiało,
Co wam Cenzura pozwoli.

Niech sobie kto chce uwielbia Kwiroga,
Który setne zawady w małym mając względzie,
Nakłonił króla, przysięgać na Boga,
Ze odtąd ludziom znośniejszy los będzie.
Niech się świat nowy szczyci Boliwarem,
Co pod wolności sztandarem,
Wiodąc ziomki w boje krwawe,
Im niepodległość, sobie zyskał sławę.

Sławni są wprawdzie, i wielka w nich dusza,
Ale któż z wami zrówna ich godnie?
Z wami! co *we czwórdeziestu* w tydzień bezzawodnie,
Wydaiecie pół-arkusza !!!....
Prawda, że wrog jest uparty,
I pomimo wasze żarty,
Wszystko iak było tak i iest na świecie,
Choć iuż rok czwarty piszecie....

Lecz kiedyś z chwałą skończycie te
Znamy bowiem dzieiów księgę:
Większą od waszey miał Greczyn potęgę,
A iednak *dziesięć lat* dobywał Troię.....

ROZMOWA J. J. RUSSO Z SAMYM SOBĄ.

Przez Andrzeia KLIMASZEWSKIEGO.

Tak tedy iestem dopiéro na ziemi ieden, bez brata, bez krewnych, bez przyiaciół, zostawiony samemu sobie. Nayzacniejszy śmiértelny i naybardziéy godny kochania, za powszechną zgodą spólludzi, wyrzucony z jch towarzystwa. W naywyszukańszych planach swéy ku mnie niewiści, wynaleźli męki, iakie nayboleśniej musiały dotknąć czulą duszę moię, i stargali raptownie wszystkie węzły, iakie mię z nimi łączyły. Mimo ich woli kochałbym ludzi, i tylko kiedy przestali bydź ludźmi, potrafili zniszczyć moię do nich przychylność. Są tedy nieznanymi dla mnie i obcymi. Stali się niczém, tak bowiem chcieli. Ale ia, uwolniony od nich... od wszystkiego... czémże sam iestem? To mi pozostaie ieszcze roztrząsnąć? Na nieszczęście przed tém roztrząśnieniem, muszę rzucić wprzód okiem na mój stan; muszę koniecznie przebić się przez ten obraz, by przyysć przezeń do siebie.

Jeszcze zdaie mi się iakoby ten dzi-

...an, w którym się od piętnastu czy
więcej lat znajduję, iest snem. Zdać mi
się iakbym coś cierpiał na zdrowiu, iakbym
miał niespokoyne marzenia, i że orzeźwiony
przebudzę się na łonie moich przyjaciół.
Tak, nieinaczej, niepostrzegłszy zrobi-
łem krok z czuwania do snu, albo ra-
czej z życia do śmierci. Wyrzucony ze
zwyczajnego związku rzeczy, wtrącony ie-
stem w niepoięte *chaos*, w którym nie nie
rozeznaię. I im bardziey zastanawiam się
nad obecnym stanem moim; tym mnięy
poymnię, gdzie iestem.

A iakżem mógł przewidzieć los, który
mnie czekał? Mogeli pojąć go dopiéro na-
wet, gdy iestem mu oddany? Czy mogłem
się zapewnić przy zdrowym rozumie,
że kiedyś ja, człowiek, iaki byłem, i iaki
ieszcze iestem, niewątpliwie będę uważany
za potworę, za mordercę: że mogę byđż
w obrzydzeniu u ludzi, igraszką pospółstwa,
i że przechodzący około mnie mają mi plwać
w oczy? Ze całe pokolenie ma mnie za po-
wszechną zgodą żywcem pogrześć? A że sta-
ła się ta dziwna zmiana, niespodzianie mnie
więc ogarnęła i obaliła. Moie wzruszenie,
móy gniew, wprawiły mnie w nieiakieś sza-
leństwo, którego dziesięcioletni czas nie
mógł uśmierzyć, i kiedym w tym okre-
sie czasu z głupstwa w głupstwo wpa-
dał, nierostropność moja dawała w ręce
rządzcom losu moiego tyleż prawie prze-

ciwko mnie narzędzi, których sztucznie użyć umieli, by go nieodzownie rozstrzygnąć.

Długo, równie usilnie iak bezskutecznie, opierałem się temu. Bez obludy, bez żadney sztuki, bez ostrożności, szczerze, otwarcie, niecierpliwie i z zupełną ufnością i tylko głębiej wlaź przy tym oporze; popełniałem ustawicznie nowe błędy, z których prawdziwie umiano korzystać. Kiedym naręście uczuł, że wszystkie usiłowania moje były daremne, że dręcę siebie wcale bez potrzeby, obrałem iedyną, iaka mi pozostawała, drogę: poddać się memu losowi nieopierając się więcey konieczności. W spokojności, iaką mi iedna tó poddanie się, znajduię nagrodę, za wszystkie cierpienia moje: iest ono wcale odrębne od ciężkiey i bezowocney pracy oporu.

Jeszcze coś innego przyłożyło się do mego uspokojenia. Prześladowcy moi przepuścili coś w wysilaniu swey ku mnie nawiści, o czém zapewna przez wygórowaną niechęć zapomnieli, to iest: aby działania iéy tak iedne po drugich wywierać, żeby, przydając ciągle nowych mąk, zawsze utrzymać albo ponawiać moje cierpienia. Gdyby umieli zostawić mi choć pozor nadziei, ieszcze mogliby mnie tém utrzymywać. Przez wystawiony iaki zwodniczy powab, mogliby nanowo bawić się ze mną i zawodząc oczekiwania moje, coraz nowsze zadawać mi rany. Ale z góry już wyczer-

pozostawiwszy, sami pozbawili się wszystkiego. Oblega, ucisk, szyderstwo, hańba iaką mię okryli, wszystko to nie może już bydz ani zwiększoném ani zwolnioném; z obu stron wysililiśmy się: oni, w wynajdywaniu katuszy, ja, w ich wytrzymywaniu. Spieszyli się nawet, w spełnieniu miary nędzy moiej, tak dalece, że wszelka moc ludzka połączona ze wszelką sztuką i z pieklém nie już nie może do niej przydać. Nawet same bole fizyczne, zamiast zwiększenia mych cierpień, rozdzieliłyby je owszem i odwróciły; chociaż może zmusiłyby mię do krzyku, ale oszczędziłyby westchnień i udręczenia duszy byłyby przez cierpienia cielesne znośniejszemi.

Kiedy teraz wszystko już nade mną spełniono, czegoż się mam więcej lękać? Stan mój nie może się już pogorszyć; już więc nie mogą natchnąć mnie w tej mierze obawą. Niespokoyność i strach są złém, od którego mię na zawsze uwolnili, a to jest ulga. Prawdziwe cierpienia nie wiele mają nade mną mocy; łatwo decyduję się względem tych, iakich istotnie już doświadczyłem; nie tak się ma z temi, iakich się ieszcze obawiam. Zdziczała od strachu imaginacya moia, łączy je i powtarza, szerzy i powiększa. Oczekiwanie ich jest dla mnie tysiąc razy straszniejszém, aniżeli ich bytność: groźba okropniejszą jest

dla mnie, aniżeli samo uderzenie. Są już, a odpada wszystko co im imaginacya przydawała, i sam skutek każe ie cenić podług istotnego ich waloru; znajduię ie wtedy nierównie mnieyszemi, aniżelim sobie wystawiał, i tak wśród cierpień czuię ulgę. W tym od wszelkiej obawy, nie-spokojności i nadziei oswobodzonym stanie, sam nałóg czynić będzie dołę, którey nie już nie może pogorszyć, od czasu do czasu znośnieyszą; a że trwałość ięy przytępiła wrażenie iakie z razu uczyniła, nie pozostaje im więc żaden środek, do ożywienia onego.

Takie dobrodzieystwo wyświadczyli mi moi prześladowcy, przeszywając mię bez miary strzałami swey zawziętości. Stracili na-de mną wszelką moc, i mogę dopiero w przyszłości śmiać się z nich.

WALKA MAYTKA Z PSEM MORSKIM.

Z francuzkiego przez M. O.

Kilku maytków wyladowawszy resztę węgla ze swego statku, rzuciło się w morze dla obmycia ciała. Lecz zaledwo kilka w niém minut zabawili, wnet stojący na brzegu towarzysze ostrzegli ich o zbliżającym się psie morskim (requin), który im niebezpieczeństwem zagrażał. Rzucili się więc natychmiast do okrętu i uratowa-

ni zostali, prócz iednego z nich, którego to straszdyło doścignawszy za nogi porwało, tak iż sam tołub wolny za paszczą pozostał. Maytkowie stojący na okręcie porwali za tę część ciała, chcąc towarzysza ratować: lecz potwor uciawszy połowę swęj zdobyczy, na głębinę odpłynął; tołub więc im z głową pozostał. Między temi maytkami znajdował się najlepszy i najszczerzy nieboszczyka przyiaciei, który widokiem połowy martwego ciała swego towarzysza przerażony w nieutulonym smutku zostawał. Gdy się to działo, potwor szukając reszty swego łupu zbliżył się do okrętu, na którym wszyscy maytkowie mieli się za najszcześliwszych, że im zaszkodzić nie może: sam Jakób, przyjaciel nieszczęśliwey ofiary, nie znając granic żalu i zemsty, przysięga, iż albo tén potwor zabić, albo sam zginąć musi. Ledwo co te wyrzekł słowa, rzuca się z ostrym nożem do morza, uderza nań z rozwartą paszczą obrzydły potwor, lecz Jakób zręcznie zboczywszy, porywa go lewą ręką za górne skrzele, a prawą w którey nóż trzymał, wiele mu śmiertelnych razów w brzuch zadaie. Napróżno wściekły potwor chodzi z maytkiém w zapasy; napróżno go wielkroć razy w bezdenney morza przepaści pograżyć usiłuje; osłabiony bolesnemi razami i krwi utratą, wypływa na wierzch wody, pasuje się coraz słabiej, nakoniec z wylewem morza,

które wówczas przypadło, do brzegu plynie. Skoro go maytek na ląd wyciągnął, wnet dobył wnętrzości, wyjął z nich połknietą część swego przyjaciela, i złączywszy obie, razem pochował.

Czyn ten nadzwyczajny dowodzi, do jakiego się stopnia przyiaźń i odwaga wznieść może, nawet w naypospolitszym człowieku.

PROSPEKT.

Pismo peryodyczne pod tytułem: *Tygodnik Wileński*, będzie wychodziło i na rok następny 1821. Lubo zupełnie iest odrębném to pismo od dawniejszego; iużto powierzchowną okazałością; iużto lekkością, trafnością i wyborem materyi, iak się niżej okaże iednak nie odmieniamy tytułu raz przyiętego. Tytuł bowiem nie stanowi do broci pisma, ale rzecz w niém zawarta, że tak powiem, iest duszą iego. Swiatli i gorliwi czytelnicy *Tygodnika Wileńskiego*, którzy od początku utworzenia się iego, ciągle utrzymywali, zapewne nie zechcą odmówić swych względów i nadal. Ty zaś plci piękna! znajdziesz w tém piśmie to, czém można rozerwać lub wzbogacić umysł; to, czém serce ukształcić; i to, co twym naturalnym wdziękóm przez skromne, gustowne i niewykwintne ubiory, niewinnych powabów dodaie.

Peryodyczne to pismo, następujące materye mieścić w sobie będzie: 1). Myśli, uwagi i postrzeżenia stosowne do uformowania i poprawy obyczajów — 2). Urywki historyczne i anegdoty takież cel mające — 3). Wyiątki z nowszych i ciekawszych podróży — 4). Powieści moralne po większej części z dzieiów i zdarzeń oyczystych wy-czerpnięte — 5). Uwiadomienia i zdania krytyczne o dziełach służących do oświeconey zabawy — 6). Wiérse w rozmaitym gatunku — 7). Mody damskie i męzkie z Zurnatów (Dzienników) zagranicznych z dołączeniem ryciny kolorowaney.

Tygodnik Wileński wychodzi dwa razy na miesiąc, dnia piętnastego i ostatniego. Numer wychodzący dnia 15 składa się z iednego arkusza, a ostatniego najmniey z dwóch i ryciną kolorowaną.

Dwanaście numerów składaia Tom z udzielnym tytułem i reiestrem.

Prenumerata roczna kosztuie pięć rubli srebrem bez poczty, a siedm z pocztą.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczonych Dnia 10 miesiąca Stycznia roku 1821.

X. Jan Kanty Chodani, Prof. Or. Czł. Kom. Cenz.

X. F. N. Golański Prof. wysł. Czł. Kom. Cenzury.